

Politycy w oczach psychologa

26 grudnia 2021

O żadnej grupie nie krąży tyle epitetów i kąśliwych uwag dotyczących zaburzeń psychopatologicznych jak o politykach. Nie sądzę, by wynikały one z faktycznego znawstwa diagnostyki psychiatrycznej obywateli lub opozycyjnych konkurentów. Trzeba jednak przyznać, że większość przytyków dość trafnie punktuje jakieś odchylenia od norm psychicznych wysokich urzędników. Przytyki świadczą o żyłce satyrycznej w narodzie połączonej z frustracjami z powodu rządzenia, wypowiedzi i zachowań co bardziej prominentnych polityków.

Psychologowie nie mają prawa nikogo diagnozować na odległość, choć są fachowcami, którym wiele mówi nawet zdalna obserwacja osoby publicznej. Niefachowcy tylko widzą, że coś jest z człowiekiem nie tak. Opis i nazwanie objawów pomaga wiele zrozumieć z tego, co robią politycy i czego można się po nich spodziewać.

Zresztą nie dotyczy to wyłącznie aktualnej kasty rządzących ani jedynie polityków rodzimych. Paszkwile, dowcipy, kabarety i szopki polityczne dokuczają władzom od zawsze i to we wszystkich ustrojach, może jedynie z wyjątkiem krwawych tyranii. Ale tam też krytykuje się publiczne autorytety, tylko raczej szeptem niż na głos. W każdym razie nie raz dostawało się możnym panom, świeckim i nie tylko. Tak na przykład pisał w utworze wierszowanym pt. „Do króla” Ignacy Krasicki:

Nie myślisz o żadnej sprawie,
Ni o wojnie ni o prawie.
Jako pies na piecu tyjesz,
Siedząc w karczmie, gębę myjesz.

To jeszcze dość łagodna aluzja do intronizowanych pasibrzuchów; możliwe, że w XVIII wieku również zajądających ośmiorniczki za pieniądze lenników. Nie chcąc sugerować,

jakoby dotyczyło to tylko nas, przytoczę wers z Bajki XIV francuskiego poety La Fontaine'a:

I choć stąpasz z wejrzeniem hardem i wyniosłem,
Będiesz nadal, czym jesteś – zawsze tylko osłem!

W swoich wielkich dramatach chyba najprzenikliwsze studium patologii władców zawarł William Szekspir, pokazując w „Makbecie” przykład skrajnie zdemoralizowanej, obsesyjnej żądy władzy. Na szczęście, była to demoralizacja naprawdę skrajna. Częściej mamy do czynienia z łagodniejszymi postaciami odchyleń od psychicznej normy.

Filozofowie i artyści interesowali się już od starożytności psychopatologią życia politycznego, a zwłaszcza rolą ambicji i emocji w rządzeniu państwem. Wielki wkład w rozumienie wpływu emocji na sprawowanie władzy mieli w czasach nowożytnych między innymi Niccolo Machiavelli, Jean-Jacques Rousseau, John Locke i David Hume. Z ich pism wynika, że przenikliwi obserwatorzy zgadzali się co do jednego: największe nieszczęścia dziejowe wynikają z niepanowania władców i wodzów nad emocjami. Chore emocje, prowadzące do niepohamowanych wypowiedzi i nieodpowiedzialnych czynów, to pierwsze kryterium niedojrzałości, nieokrzesań i bezduszości. Niechby sobie nawet politycy byli niedojrzali na własny rachunek, ale niestety ich zaburzona emocjonalność ujawnia się w postępках i decyzjach, których wiele zagraża stabilności narodów, a nawet kontynentów. Poza tym, obywatele na nich patrzą, słuchają ich i stopniowo zaczynają mówić i zachowywać się podobnie, a więc również agresywnie, obraźliwie i wrogo. No i mamy sytuację, w której nie tylko świat polityki, lecz cały obszar życia publicznego, a nawet także prywatnego, staje się coraz bardziej areną zjawisk patologicznych. Społeczeństwo pogrąża się w stan wrogości i podziałów, rodzących powszechny pesymizm. Najgroźniejsze jest to, że procesy te z czasem mogą okazać się nieodwracalne.

Jakie konkretnie patologie psychiczne można rozpoznać u

naszych polityków? Sama na to pytanie nie pokusiłabym się odpowiedzieć, bo to zbyt wielka odpowiedzialność. Jak to, tak na odległość, bez narzędzi diagnostycznych? Znając ich jedynie z mediów? Taka obserwacja odnosi się przecież głównie do publicznych wystąpień i polemik, gdy wystrojeni w markowe garsonki i garnitury, wygłaszają dyżurne przekazy dnia z wielką pewnością siebie, wykrzykując je przede wszystkim do ciemnego suwerena, który, jak wiadomo, „wszystko kupi”. A my, niby krytyczni, niby z boku, ale w gruncie rzeczy też je „kupujemy”.

Przeprowadziłam sondaż wśród znajomych psychologów i psychiatrów w dostępnym mi kręgu mojej bańki. Może nie powstał w pełni reprezentatywny obraz, ale na pewno mniej subiektywny niż byłby tylko mój własny. Sięgnęłam też do książki pt. „Paranoja polityczna. Psychoatologia nienawiści” autorstwa R.S. Robinsa i J. M. Posta. Książka zawiera analizę zjawisk socjopolitycznych opartych na przykładach rządów takich tyranów, jak Hitler, Stalin, Pol Pot i Idi Amin. Zawiera także historie sekt i kultów oraz przykłady zbiorowej paranoi w Chinach czy ZSRR, gdzie odbywało się swego czasu „kształtowanie nowego człowieka radzieckiego”. Nie szkodzi, że historie te wydarzyły się daleko od nas i niektóre już dawno. Podobieństw znalazłam sporo. W każdym razie można lepiej zrozumieć, dlaczego w naszym życiu politycznym tak wiele jest zawiści, agresji, wrogości, populizmu, hipokryzji, kłamstwa, manipulacji, pychy, braku empatii.

Najwidoczniej i my mamy w naszych władzach, a więc w rządzie i w partiach, a także zarówno w większości parlamentarnej, jak i w mniejszości, pokaźną liczbę osób mniej lub bardziej psychicznie zaburzonych. Łączy ich wspólna paranoja, chociaż u jednych działa ona tak, że sami są zastraszeni, a z drugich czyni złowieszczych proroków, szerzących wizje obcych inwazji. Ci pierwsi to myszy pod miotłą, bez poglądów albo nawet z poglądami, ale żyjący w strachu, że nie mogą ich głosić, bo koniunktura jest nieodpowiednia i mogliby stracić kilka

procent swoich wyborców. Więc jako te myszy, chowają się po norach, kiedy na przykład jest ważne głosowanie w Sejmie nad sprawą, której załatwienie leży na sercu wielu ich zwolenników. Inna odmiana paranoików głównie straszy innowiercami oraz Zachodem i Brukselą, chociaż sami garściami czerpią płynące stamtąd korzyści. Więc to nie tylko paranoicy, ale jednocześnie cwaniacy i hipokryci. To również ci sami, którzy węszą spiski i zmoły zagrażające im samym, chociaż dla lepszego wrażenia twierdzą, że zakusy dotyczą dobrego imienia i wyolbrzymianej usilnie glorii naszego Narodu, a zwłaszcza jego przechłubnej dziejowej roli. Nie jest do końca pewne, czy bardziej się boją, czy bardziej straszą. No, ale taka dziwna jest ta przypadłość paranoików.

Nieodłącznym rysem paranoi jest podejrzliwość. Kojarzy się z zachowaniem wystraszonego dzika, który gotów jest rzucić się do ataku nawet na pocziwego leśniczego dosypującego mu żołądki do paśnika. Ten rozjuszony ze strachu zwierz wierzy wyłącznie w swojej urojenia i nie da się przekonać, że za większością zdarzeń nie kryje się śmiertelne zagrożenie. A co najmniej kłątwa. Dla niego wszystko jest przez kogoś powodowane z szatańską premedytacją i oczywiście z zamiarem jego osobistego unicestwienia. Dlatego ni stąd, ni zowąd może nagle, bez żadnego trybu, wskoczyć na mównicę i wykrzyczeć, powiedzmy, coś o zdradzieckich mordach. Taka to osobliwa słabość, chociaż wśród popleczników uchodzi za siłę.

Na to nakłada się megalomania. Jest to również cecha paranoiczna, sugerująca niedościgłą wielkość, na którą czyhają potajemne moce dążące do umniejszenia tejże. Wszystko dlatego, iż wyobraża sobie ów paranoik, że jest kimś nadzwyczajnym i wyjątkowym. „Byle kim wróg by się tak nie zajmował, ale mną, to co innego”. Mania wielkości często dotyka paradoksalnie najmniejsze szczenię z miotu, gdy od zarania musi ono dobijać się do pokarmu i boi się, że w każdej chwili może zostać stratowane przez dorodniejsze osobniki. Szybko wyrabia więc w sobie nieprzeciętny spryt nazywany często, nie bez przesady,

inteligencją. Ów spryt i przebiegłość biorą się też ze strachu, a więc paranoi, że nie uda mu się prostą drogą dopchać do żeru i zginie marnie. Więc nie dopuszcza do tego dotąd, aż wszyscy wokół przekonają się, że z nim nie ma żartów i albo będą mu posłuszni, albo zostaną odepchnięci.

Z tego logicznie wynika, że paranoik musi być egoistą i myśleć wyłącznie o sobie. To nie wymaga nawet komentarza. Jednak, aby paranoiczny egoista faktycznie potrafił wywalczyć dla siebie czołowe i szczytowe miejsce w hierarchii, musi nie znosić innych, bać się wszystkich i uważać ich za wrogów. Sam oczywiście musi budzić postrach i trwogę jak to między wrogimi przeciwnikami.

Ponieważ tak się o siebie boi, potrzebuje dowodów uznania, poklasku i podziwu, słowem miłości. Dziwna kombinacja, no ale w zaburzeniach psychicznych zawsze występują dziwne, a nawet paradoksalne i sprzeczne kombinacje uczuciowe. Toteż nasz skomplikowany paranoik z manią wielkości i jednoczesną potrzebą, aby bali się go inni, stopniowo uzależnia się od swoich akolitów, którymi z jednej strony pogardza, a z drugiej sam się od nich uzzleźnia. W każdym razie wokół takich słabosilnych wodzów zawsze skupia się wierny tłumek. Wtedy, coraz bardziej uzależniony od adoracji, czołowy paranoik robi się nieporadny, jak skalar czy welonek w akwarium, który chciałby podbić cały świat, ale gdy tylko wystawi łebek nad wodę, to traci dech. Musi więc pozostawać zanurzony w swoim światku, w pewnym sensie dość mało widoczny, wtedy bowiem najpewniej się czuje. I jak to organizm uzależniony od swego ekosystemu, zdaje sobie sprawę, że jego bezpieczeństwo może być w każdej chwili zagrożone. Dlatego nie szczędzi horrendalnych sum, niezbędnych do zapewnienia sobie iście cesarskiej ochrony. Cóż, komfort paranoika ma wysoką cenę, czasem nawet sześciocyfrową.

Omówione tu zjawisko nie obejmuje całego panoptikum wariatów (o, przepraszam, wariantów). Paranoiczne osobowości mogą przybierać rozmaite odmiany. Co ciekawe, ich wzajemne

obcowanie, a zwłaszcza emanacja charakterologiczna przywódczej postaci, udziela się zbiorowości pozostającej pod jej wpływem. Jak blask słońca, tak psychopatologiczne cechy promieniają ze szczytu na niziny i doły. Przybierają po drodze różne rysy osobowe, zależnie od indywidualnych czynników środowiskowych i charakterologicznych.

Obok czołowej postaci znajduje się więc zawsze gromadka lizusów i lizusek, nadskakiewiczów i klakierów, też oczywiście paranoików, ale jakby wtórnych, bo nie wiadomo, czy boją się tego samego, co wódz, czy po prostu boją się wodza, albo kto wie, może boją się utracić do niego dostęp. Są też oddani żołnierze i wojownicy, gotowi rzucić się rejtanem albo uruchomić moce (często dopiero zaplanowane) w obronie Sprawy lub, jeszcze bardziej, jej Czołowego Szermierza. Towarzyszą temu oczywiście, jak bywało na dworach, szare eminencje, rzesze dworzan i rycerzy, jest nawet błazen. Ten ostatni, jak wiadomo, miał jako jedyny przywilej mówienia prawdy, nawet niewygodnej prawdy. U nas jednak po prostu, za swoim panem kłamie jak najęty, błażniąc się sam, nikogo już nie rozśmieszając.

Autorstwo: Ewa Woydyłło-Osiatyńska

Źródło: StudioOpinii.pl